

Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędną KAWIARNIA J. BISANZA w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parter

Kronika tygodniowa.

Wszystkim naszym poważno-ponuro dramatycznym pisarzom polecam nowy, jeszcze przez nikogo nie poruszany temat do nowelli lub powieści. Tematem tym są kłopoty, a raczej cierpienia kronikarza tygodniowego, spędzającego miesiące letnie w jednej z pereł naszych zdrojowisk. Bo, że wszystkie nasze zdrojowiska są „perlami”, to możecie się państwo przekonać z korespondencji umieszczanych w naszych dziennikach. Perłą, a jednocześnie „królową” jest Krynica, perłą jest Rabka, Szczawnica, Iwonicz i t. d. — jednym słowem mamy cały sznur pereł. Są też i „ukryte perełki”, jak n. p. Żagiestów, o czym dowiadujemy się z *N. Reformy*.

Otóż ujemną stroną znacznej części tych pereł jest to, że komunikacja ich ze światem przedstawia ogromne trudności. Kronikarz wasz, Szanowni Czytelnicy, siedział mianowicie w takiej perle, do której listy i dzienniki przychodziły dopiero na trzeci dzień, choć perła oddalona jest od Krakowa zaledwie o mil kilkanaście. Ba! przekaz pocztowy wysłany z tej perełki dnia 5 sierpnia do tej chwili nie doszedł do Krakowa, na co mam w ręku dowody — widocznie c. k. poczta zasiała w drodze, a może nawet w braku opieki lekarskiej, przeniosła się do wieczności. Co więcej, zarząd tej perełki, uznał (może i słusznie), że jego „horacyusze i kuracyusze” nie powinni męczyć się czytaniem, bo to pobudza do myślenia, a wszelka praca myśli wpływa ujemnie na nadwątlone, potrzebujące wzmocnienia ciało. Wskutek tej pieczy nad zdrowiem gości, olbrzymia przestrzeń czytelnia czasopism posiada tylko kilka dzienników, obywatel się bez wszelkiej publikacji poważniejszej. Pomijam już czasopisma naukowe, miesięczniki, ale nawet takich ilustracji jak *Świat*, *Tygodnik ilustrowany* zarząd mojej perełki nie zaprenumerował. A ponieważ dzienniki nasze mają to do siebie, że skoro jeden z nich przeczytasz, to już wiesz, co znajdziesz w drugim, trzecim i dziesiątym — przeto nawet zwyczajny pożeracz wiadomości złego i dobrego, nie obarczy swego umysłu zbyt wielkim ciężarem i czuje brak tematu do ogólniejszej lub głębszej pogawędki na deptaku z kolegami po katarze oskrzeli, czy żółdka. Może to dla niego i lepiej, ale kronikarz tygodniowy oddalony od „ognisk” cywilizacji, jak kania dżdżu oczekujący wiadomości o faktach, któreby mu dały materiał do napisania kroniki, w chwili kiedy ją ma pisać rwie sobie włosy z głowy i przeklina wszelkie perłowe zarządy. Jestto bolesny dramat, prawie tragedia, bo do samobójstwa lub popełnienia morderstwa na jednym z członków zarządu jest niedaleko. Więc też skreślenie rozpaczliwego stanu duszy tygodniowego kronikarza, zamkniętego w którejkolwiek perle zdrojowisk krajowych, może być wybornym tematem dla ponuro-poważnego dramaturga nowelisty lub powieściopisarza.

Przed tygodniem ratowałem się Rapperswilem, ciesząc się, że za tydzień będę już miał przed sobą sprawozdanie komisji rewizyjnej muzeum. Niestety, albo jeszcze nie wyszło, albo do „perełki” nie doszło. Bez tego sprawozdania zaś muszę odłożyć na później dalsze moje uwagi nad tragedią czy farsą rapperswilską. Skłania mnie do tego i pewna sprzeczność spotykana w korespondencych i telegramach z Rapperswilu. Zdaje się wprawdzie, że ogólnie biorąc, panowie oskarżyciele poszkapili się, ale rozmiary tego poszkapienia nie dadzą się jeszcze ująć w stałe formy. Ktoby n. p. chciał swój sąd opierać na korespondencych warszawskiego *Gońca*, musiałby nabyć przekonania, że bądź co bądź w Rapperswilu działały się „okropności”, że zarzuty pp. Żeromskich, Sokolnickich, Szpotańskich, Koperów, zostały stwierdzone, że należy im stawiać pomniki za uratowanie od zguby muzeum, a kustosa z Radą nadzorczą wypada, jeżeli nie wbić na pal, bo to środek barba rzyński, to przynajmniej skazać na stałe odczytywanie niedzielnych nowel *Kuryera warszawskiego*, co, lubo działa napozór łagodnie, może przecie zastąpić średniowieczne tortury. Tegoż samego prze

konania nabędziesz ze szpalt *Słowa polskiego*, z tym jeszcze dodatkiem, że zanim wyrok na rapperswilskich winowajców zostanie wykonany, należy przede wszystkim usunąć z powierzchni ziemi dra Tadeusza Rutowskiego, jako szkodnika narodowego, wobec którego błędą Sicińscy, Radziejewscy, Targowiczanie, a nawet kustosz Rużycki. A co począć z Żeromskim, który według telegramów miał odwołać najpoważniejszy swój zarzut (zniszczenie wycinaków Chodźki), a tymczasem, według wywiadu *Nowej Gazety*, nie cofa żadnego ze swoich oskarżeń, podtrzymuje je wszystkie co do jednego. Wobec tych sprzecznych wiadomości i zapatrywań, należy z ostatecznym sądem czekać aż do ukazania się sprawozdania komisji, zwłaszcza, że czuć na każdym kroku osobiste antagonizmy i niedomówienia. Gra tu nawet rolę pewna zaściankowość, chęć zastąpienia ludzi z własnego „powiatu”. Tak np. korespondent *Kuryera warszawskiego* telegrafuje wyraźnie: „Sprawozdanie komisji krytykuje ostro postępowanie dyrektora Muzeum narodowego w Krakowie, Koperę, który zarzucił zarządowi Muzeum rapperswilskiego blagę, głupotę, kłamstwo i działalność szkodliwą” — a cały ten ustęp jest opuszczony w telegramie dziennika krakowskiego, którego sprawozdawcą był ten sam korespondent. Do tej chwili na jedno tylko jest, zdaje się, zupełna zgoda, a mianowicie, że jeden z oskarżycieli, p. Sokolnicki, był „tanim kupcem” dubletów rapperswilskich, za co mu odebrano prawo wstępu i pracowania w Muzeum. Może być, że jego rozgoryczenie na kustosa Rużyckiego miało w tym źródło, iż kustosz nie chciał mu ustąpić żadnych „dubletów” ze zbiorów muzealnych po cenie, za jaką się sprzedaje na wagę stare żelazko i inne rupiecie.

Nie uniknęło zarzutu i nasze krakowskie Muzeum narodowe — widocznie przyszła kreska i na... muzea, a raczej ich zarządy. Oto *Dziennik polski* doniósł, że już od dłuższego czasu jest do nabycia dom w Solurze, w którym umarł Kościuszko. Przed pół rokiem zmarła jego właścicielka, która „mimo, że się zgłaszało dawniej ze sfer polskich z chęcią nabycia domu, nie dała się nakłonić do sprzedaży rodzinnej siedziby”. Ale dzisiejszy właściciel domu, zięć nieboszczki, niema tych skrupułów i chce odstąpić tę pamiątkę narodowi polskiemu. Więc przed kilku miesiącami wysłał list polecony do Muzeum narodowego w Krakowie, ale „niestety nie otrzymał ani słowa odpowiedzi”. Korespondent *Dziennika polskiego* zawładnął „uczucie zaniepokojenia i wstydu”. Bo czy to możliwe, zapytuje, „aby istniało tak karygodne zaniedbanie lub obojętność? Jeśli tak, to na ciężki zarzut zasłużyła ta instytucja narodowa, bo sama nic nie zdziałała, a co gorsza zatrzymała sprawę tak doniosłą w tajemnicy”. Korespondent *Dziennika polskiego* rzuca myśl, aby drogą składek zebrać 130 000 franków (cena domu) i uratować pamiątkę narodową. — Podzielamy jego zdziwienie, że dyrekcyja Muzeum narodowego schowała sprawę pod korzec — śnać, zajęta kampanią przeciw Muzeum rapperswilskiemu, nie miała czasu zajmować się taką blachostką jak dom Kościuszki. Podzielamy również i myśl zakupna tego domu ze składek, choć tu radzimy pewną uzasadnioną ostrożność. Właściciele tego rodzaju pamiątek zwykli je oceniać wysoko nie tylko moralnie, czego mieliśmy przykład na domku Mickiewicza w Kownie, za który właścicielka żądała sumy, przewyższającej pięciokrotnie jego realną wartość. Nie twierdzimy zatem, ale obawiamy się, czy przypadkiem pan zięć zmarłej właścicielki domu Kościuszki w Solurze, nie ocenia zbyt wysoko swej przykrości rozstania się z pamiątką rodzinną swej teściowej.

W roku, a raczej w lecie bieżącym najwięcej staramy się o ratunek Macierzy cieszyńskiej, z której upadkiem nastąpiłby bodaj początek końca narodowego szkolnictwa na Śląsku. Więc po wszech ziemiach i wszach „wodach” (czyli miejscach kąpielowych) urządzamy wiece, dni kwiatowe, koncerty, aby zasilić groszem kasę Macierzy. Zapewne, że ją też zasiliły jakimś może 10.000 koron, co jest kroplą w morzu, łataniną. Co więcej i gorzej: zebranina, bo te wszystkie „kwiatki” i bileciki na koncerciki noszą cechy zebraniny. Wdzięczność należy się tym, co się do akcji biorą, ale czy taka dorywcza pomoc może dać podstawy materialne tak ważnej instytucji? A pytanie drugie: choćbyśmy Macierz uratowali, czy przez to uratujemy już i Śląsk od zgermanizowania i zczechizowania? Wszak tam, jak to już szerzej na tem miejscu podnosiłem, potrzeba nie tylko szkół, ale sklepów, adwokatów, lekarzy, rzemieślników, agitatorów polskich, potrzeba wszelkiego rodzaju organizacji, jaką i Niemcy i Czesi posiadają i którymi, nie tylko szkołami, wypierają ludność polską, a raczej na swoją ją przerabiają. Potrzeba pracy systematycznej na wszech polach,

we wszystkich kierunkach, potrzeba stale dostarczanych funduszy, a nie kwiatkami dorywczo zbieranych fundusików, którymi załata się jedną dziurę, gdy setki innych tymczasem powstaną.

Na to właśnie, aby taką systematyczną, a nie dorywczą pracę prowadzić, założona została *Straż Polska*. Ratować kresy wszelkimi środkami, to było jej główne zadanie. Ale stanęła przy niej tylko mała garstka, bo żądano od jednostek olbrzymiej ofiarności — aż 4 koron rocznie! A gdyby takich jednostek znalazło się 100.000, to nie potrzebowalibyśmy „kwiatków” i koncercików, toby nietylko Macierz otrzymywała potrzebny jej zasiłek, ale i w innych kierunkach praca szłaby rażno. Byłoby do kogo zwrócić się i o co na dom Kościuszki i o pomoc na inne cele. Ale nas nie stać na to, abyśmy stworzyli i utrzymali tego rodzaju co *Straż* instytucję. My wolimy ją krytykować i wyciągać rękę do P. T. publiczności, kiedy wypadnie nagle potrzeba. Bo to tak przyjemnie tworzyć *ad hoc* komitety i komiteciki, ogłaszać „protektoraty”, pomnażać liczbę jednodniowych dygnitarzy.

Nie o *Straż* mi idzie, nie podobała się, czy też nie podobali się ludzie, co na czele jej stanęli — dobrze, odwróćcie się od niej i od nich, a załóżcie co lepszego. Nazwijcie to Ligą, Zjednoczeniem, Obroną, Radą, Nadradą, Jednością, Zgodą, Unią, Skarbcem, Kołem, Komitetem narodowym, Opieką — jak chcecie, jeżeli was nazwa *Straż* razi. Zamiast Xów i Zetów, co przy *Straż* stoją i chcą pracować, powołajcie Ygreków. Zgoda! Ale załóżcie i utrzymajcie. Stwórzcie instytucję zasobną, opartą na wkładkach członków, niepotrzebującą zebrac i kwiatki sprzedawać. Kto może, niech oświadczy, że da rocznie 10 lub 20 koron (więcej płacicie w każdej resursie i w stowarzyszeniach o maleńkich celach) — kogo stać na 100, niech da 100, a kogo nie stać na 10 koron, niech da 5, lub nawet 2 korony rocznie, ale niech da, niech od ich dania nikt się nie wymawia, niech się po roku nie cofa. A wówczas nie będą was „napadały” panny po ulicach i deptakach, nie będzie „karotowania”, a stanie silna finansowo instytucja, która zaspakając będzie bieżące pilne potrzeby narodowe, nie odwołując się do zebractwa, z którym do twarzy może być co najwyżej instytucjom filantropijnym.

A dla filantropii otwiera się nowe pole. Okazała się „konieczność” podwyższenia ceny różnych artykułów żywności i potrzeb codziennych. Łada dzień ma podrożeć mięso, mydło i jeszcze coś tam. Trzeba więc będzie urządzać „kwiatki” na mięso w niedziele dla biednych i na mydło dla zabrudzonych. W prawdzie leżą setki cetnarów taniego mięsa argentyńskiego w Tryeście, ale Węgry siostrze Austrii wyładować go nie pozwalają. Mięso to pójdzie do Szwajcaryi lub do Włoch, a w Tryeście, gdzie panuje cholera, ludzie żywią się rybami, choć policja lekarska zaleca im jeść mięso. Rząd uspokaja nas zapewnieniem, że będzie myślał o „podniesieniu chowu bydła rodzimego”. Czekaj tatka latka, a tymczasem żyw się chlebem i ziemniakami. Ta polityka rządu, doprowadzająca w Austrii dla dobra agraryuszy, drożyznę do ostatecznych granic jest straszną omyłką, która przedewszystkiem zemści się na rządzie i na agraryuszach.

Przyznam się, że i ja popełniłem... omyłkę. Wiwna temu owa „perła”, wśród której przebywam. Przeczytałem w jakimś piśmie recenzję z nowej książki p. Makuszyńskiego, (tytułu zapomniałem) będącej zbiorem wyszłych z pod jego pióra sprawozdań teatralnych. Jednocześnie wpadła mi w oczy niesmaczna reklama, jakiej dopuścił się w ogłoszeniu wydawca jego „Dziwnych powieści”. Wziąłem tę drugą książkę za pierwszą, a sprawdzić rzeczy nie mogłem, bo w „perle” brak tak księgarń, jak czytelników. Stąd więc niesłusznie zarzuciłem wydawcy, że podchodzi publiczność, podając zbiór recenzji teatralnych za nową powieść. Przyznaję się do tej pomyłki, nie cofając zdania, że zaprowadzanie tego rodzaju „nowości w ogłoszeniach” skarcone być powinno. Zostawmy podobne reklamy dla Odolu, dla mydła Schichta i pastylek Faya — książki, owocu pracy umysłowej, w ten sposób polecać się nie godzi.

DOSTAWCA DLA ZWIĄZKU LEKARZY

B. WIERZEJSKI, KRAKÓW, RYNEK
róg ul. Floryańskiej.

Telefon Nr. 0368.

Poleca już nadeszłe:

ANGIELSKIE PŁASZCZE JESIENNE i ZIMOWE.

KURTKI do polowania. — CZAPKI i KAPELUSZE

sportowe. — OBUWIE AMERYKAŃSKIE. — GUMOWE

okrycia nieprzemakalne.